DZIENNIK OBOZOWY APW

DODATEK TYGODNIOWY

N.p., sobota, 15 lipca 1944 r. Nr 16

SZCZYT BEZPRAWIA
Obywatele polscy fabrykacji sowieckiej

W dniu 1 lipca został ogłoszony w Moskwie dekret Rady Najwyższej ZSRR z dnia 22 czerwca b.r., określający prawa przyjmowania i otrzymywania obywatelstwa polskiego.

Według litery tego dekretu o obywatelstwie polskim decydować będzie specjalna komisja Rady Najwyższej ZSRR, do której należy kierować prośby o uzyskanie prawa do tego obywatelstwa.

Samo zestawienie pojęć: Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, a więc jedno suwerenne państwo, swoją jednostronną decyzją nadaje sobie moc rozstrzygania o tych prawach i przywilejach, które stanowią zasadniczy probierz, niejako źrenicę oka suwerenności drugiego państwa - w tym wypadku Rzeczypospolitej Polskiej - jest dostatecznie wymowne.

Zastanawianie się, dyskutowanie o tym, czy i na ile ten jednostronny akt rządu sowieckiego jest sprzeczny z prawem międzynarodowym, jest równie niepoważne, jak usiłowanie udowadniania pewników.

Wkroczenie zaś Sowietów na linię stosowania w odniesieniu do swoich bliższych i dalszych sąsiadów b e z p r a w i a j e s t p e w n i k i e m, który istnieje jako fakt konkretny i namacalny w stosunkach międzynarodowych od dnia 17 września 1939 r.

Dalsze akty: plebiscyty pod świszczącym sowieckim batogiem, włączanie całych narodów i państw do Związku Sowieckiego, konstruowanie na fundamencie tych aktów dokonanych siłą "prawnych" - pożal się, Boże - sformułowań w Konstytucji Sowieckiej, wojna z Finlandią w roku 1940 itd., są to tylko słupy wiorstowe na tej samej linii, dowodzące jedynie, jak bardzo w łonie rządu sowieckiego, w jego psychice, głębokie jest umiłowanie czegoś w rodzaju k u l t u stosowania b e z p r a w i a w sferze zagadnień międzynarodowych.

Ten zaś kult bezprawia utrwalił się w atmosferze absolutnej bezkarności przykładowo wyliczonych jego przejawów.

Dzisiaj każdy, kto chce się ratować od skutków tego bezprawia, kto nie chce trwać w zatrutej atmosferze coraz głębiej postępującego rozkładu najbardziej podstawowych zasad moralnych, musi przyznać, że na akademickie dyskusje prawnicze już zapóźno i że zaradzić tutaj mogą jedynie zdecydowane sankcje karne.

Cele zaś tego konsekwentnie uprawianego bezprawia, podobnie jak i skutki dalszego pobłażania są zupełnie jasne.

"Rada Najwyższa jest wyższym organem władzy państwowej w ZSRR" - mówi 30. artykuł konstytucji sowieckiej.

Ta Rada Najwyższa, a ściśle biorąc jej wykonawcze Prezydium, jak wynika z dalszych artykułów konstytucji sowieckiej i z sowieckiej interpretacji, stanowi rodzaj wielogłowego prezydenta Związku Sowieckiego. Nawiasem wspomnieć należy, że najwyższym organem wszelkiej władzy w Sowietach jest Centralny Komitet Wykonawczy Partii Komunistycznej i że wspomniana Rada Najwyższa i jej Prezydium muszą posłusznie wykonywać wszelkie zlecenia Partii i, co znów za tym idzie - Stalina.

Otóż ten quasi-prezydent Sowietów zagarnia sobie prawa, należące wyłącznie do zakresu władzy naszego Prezydenta, Sejmu i Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Do czego to zmierza?

Tak jak, wykorzystując niezwykle niedbałą redakcję układu polsko-sowieckiego z dnia 31 lipca 1941 r. w sprawach dotyczących t e r y t o r i u m i g r a n i c R.P., nie mówiąc już o curiosum "amnestii" - rząd sowiecki zaczął natychmiast swobodnie interpretować p r z y n a l e ż n o ś ć o b y w a t e l s k ą przymusowo wywiezionych w głąb Rosji mieszkańców naszych Ziem Wschodnich - tak dziś w odwrotnym kierunku, przez nadanie sobie "prawa" decydowania o o b y w a t e l s t w i e p o l s k i m, rząd sowiecki wyciąga dłoń po całą ludność polską a co za tym idzie, i po t e r y t o r i u m.

Rząd sowiecki wyraźnie jednak docenia skutki swej działalności na okupowanych ziemiach polskich i zdaje sobie sprawę, że "popularność" jego wśród Polaków jest tego samego gatunku, co "popularność" Niemców.

Prawdziwie dobrowolnych aktów rzucania się Sowietom na szyję tam nie będzie, stąd usilne dążenie do stworzenia warunków, w których przymusowo powstawałyby fakty w rodzaju "dobrowolnych i demokratycznych" plebiscytów. Do tego jednak trzeba aparatu.

Komisja Związku Sowieckiego do spraw

obywatelstwa polskiego będzie więc działała celowo i sprawnie. Udzieli prawa do obywatelstwa polskiego głównie tym, którzy dadzą maximum gwarancji, że będą mogli być zużyci do zsowietyzowania Polski. Aby zaś gwarancja była zupełna, prawo do obywatelstwa polskiego będzie przyznane przede wszystkim tym, którzy już dawno Polakami być przestali, albo nigdy nimi nie byli, a którzy w charakterze oficerów przydzieleni zostali na wszystkie odpowiedzialne stanowiska w armii Berlinga. Jakie zaś ogromne w tej dziedzinie możliwości nastręcza formuła "i wszyscy ci, którzy współdziałają z armią polską w ZSRR"?

Niepewni, choćby naprawdę istotni obywatele polscy z litery prawa i z ducha polskości - zostaną przez Komisję odrzuceni.

W ten sposób rząd sowiecki usiłuje wytworzyć kadrę nowego zupełnie gatunku "obywateli polskich" - z łaski Stalina - nie mówiąc już o tym, że wielu sowieckich obywateli zostanie do pełnienia roli obywateli polskich przydzielonych - z rozkazu Stalina.

Tworzą się swoiste kadry sowieckiego Amgot'u, tylko nie dla administracji, a dla bolszewizacji zajętego ewentualnie obszaru.

Przez dekret o prawie do obywatelstwa polskiego otrzymujemy autentyczny i nie zawierający żadnych niedomówień czy niejasności komentarz do zapewnień Stalina, że "pragnie on Polski silnej i niepodległej" ale... w stanowczym zasięgu władzy sowieckie.

Ten autentyczny komentarz sowiecki do sowieckich oświadczeń jest pożyteczny zwłaszcza dla tych, coraz mniej zresztą licznych Polaków, którzy uprawiali, bądź uprawiają, w stosunku do Sowietów lekkomyślnie naiwną politykę w i a r y.

Polacy w Kraju i przygniatająca większość Polaków na uchodźtwie zdaje sobie jednak bardzo dokładnie sprawę, jaka jest wartość w i a r y i zaufania w stosunkach z ZSRR. Swoisty, podstępny Amgot sowiecki będzie więc należycie przyjęty i należycie przez Polaków potraktowany. Jest takie krótkie rosyjskie słowo: won!

Otwarte jednak przez Sowiety zagadnienie przerasta sprawę takiego czy innego usiłowania pokrzywdzenia Polski i sprawę ewentualnego godzenia się Sojuszników z tym pokrzywdzeniem.

Ciekawa by przecież była opinia Anglika w stosunku do ewentualnego faktu stworzenia np. w Stanach Zjednoczonych specjalnej Komisji, która by do swego zgóry jakimś dekretem ustalonego grona dokooptowala kilku zdeprawowanych Anglików i następnie zaczęła wydawać opinię, kto z obywateli angielskich ma prawo do tego obywatelstwa, a kto nie. To samo zresztą mogliby jutro zrobić Anglicy w stosunku do Francji, Francuzi do Stanów Zjednoczonych itd. Rząd Polski zaś w odpowiedzi na machinacje sowieckie mógłby ze swej strony powołać Specjalną Komisję, która by orzekła, że ukrywający się pod mianem Stalin, niejaki Dżugaszwili, nie ma prawa do obywatelstwa sowieckiego.

Ponura groteska, której niebezpieczeństwo polega na tym, że wszystko dzieje się nie na skutek podstępnych zabiegów wroga, ale... w samym obozie Sojuszników i wskutek <u>machinacji jednego z sojuszników.</u>

Machinacje Sowietów w stosunku do krajów bałtyckich, do Polski itp. są coraz pilniej obserwowane przez cały świat. Stosunek sojuszników do tych machinacyj jest zwłaszcza dokładnie rejestrowany przez narody udręczone przez brutalne zastosowanie siły.

Polska, jak powiedział Roosevelt, jest natchnieniem narodów. Zagadnienie Polski tak podstępnie komplikowane przez Sowiety staje się probierzem dla wiary w lepszą przyszłość narodów mniejszych.

Świadomość ta penetruje coraz silniej nawet w przeciętną myślenia pojedyńczego szarego człowieka.

Ten właśnie szary człowiek z coraz większym zdumieniem przeciera oczy, coraz gorączkowiej pyta, dokąd jeszcze stoczyć się może morale wojny, gdzie właściwie tego morale szukać należy.

Ten szary człowiek polski, angielski, francuski poszedł we wrześniu 1939 r. do wojny w imię tych ideałów, które streszczał sobie w jednym jasnym zdaniu: Prawo musi iść przed siłą.

Obecnie, w piątym roku wojny, dowiaduje się, nie od Goebbelsa czy Hitlera, ale właśnie od jednego z sojuszników, że: Siła idzie przed prawem i że tylko w imię siły może podeptać wszystko.

A jakież pytania muszą sobie zdawać w tej sytuacji ujarzmione przez Niemcy narody Europy?

Mamy prawo przypuszczać, że w Litwinach, Łotyszach i Estończykach Związek Sowiecki nie ma przyjaciół.

Obawiamy się jednak również, że atmosfera bezprawia bezkarnie rozsnuwana nad Wielką Sprawą Aliantów przez jednego z sojuszników, nie może sprzyjać tak ciężkiemu i takimi niespodziankami najeżonemu zadaniu, jakim jest rozpoczęta inwazja na Europę.

Oby chłód narodów europejskich do Sprawy Sojuszników nie był najmniejszą z niespodzianek, którą Sojusznicy zawdzięczać będą Stalinowi.

-oOo-

Dekret mówi wyraźnie, że do ustalonej zgóry i to przez rząd sowiecki owej specjalnej komisji do spraw obywatelstwa polskiego, sama Komisja dokooptuje przedstawicieli Związku Patriotów.

Ci więc, którzy tak usłużnie i w interesie sowieckim napadają na jedyny legalny rząd polski, którzy usiłują sobie uzurpować prawo do przemawiania w imieniu Narodu Polskiego będą tylko d o k o -

o p t o w a n i.

Jeżeli zdrajca może się czymś tłumaczyć, to być może kiedyś członkowie Związku Patriotów będą szukali okoliczności łagodzących w tym, że nie byli p e ł n o p r a w n y m i tylko d o k o o p t o w a n y m i członkami komisji opiniującej prawa do obywatelstwa polskiego. Nic im to nie pomoże, bo właśnie ich robota ułatwia Sowietom te podstępne machinacje. Dziś jednak z omawianego dekretu wynika niezbicie potwierdzenie starej jak świat prawdy, że z d r a j c ó w n i k t n i e s z a n u j e, nawet ci, którym zdrajcy służą.

-oOo-

POLITYKA ZAGRANICZNA ST. ZJEDNOCZONYCH

Jedną z największych przeszkód w nakreśleniu wizji świata powojennego jest niewątpliwie niepewność, jakimi drogami pójdzie w przyszłości polityka zagraniczna St. Zjednoczonych. Wszystkie artykuły, jakie się na ten temat pojawiają na łamach prasy światowej, zawsze jako na najwyższy autorytet powołują się na nazwisko Waltera Lippmanna, słynnego amerykańskiego publicysty politycznego, pisującego w dzienniku "New York Herald Tribune".

Jaki to program polityki zagranicznej zaleca Amerykanin Lippmann? Wszystkie te zalecenia skupiają się w wydanej rok temu książeczce p.t. "U.S. Foreign Policy" (Polityka zagraniczna St. Zjednoczonych), która mimo swej bardzo niewielkiej objętości uważana jest niemal za naukowy podręcznik, będący kluczem dla zrozumienia tego problemu.

Od początku do końca książki autor konsekwentnie przeprowadza kilka nader śmiałych i prosto skonstruowanych tez. 1° Polityka zagraniczna danego państwa polega na stworzeniu równowagi między jego zobowiązaniami zagranicznymi (t.j. takimi, dla których wypełnienia w ostateczności trzeba prowadzić wojnę) a jego siłami materialnymi, których można użyć dla dla zapobieżenia wojnie lub dla jej wygrania, gdyby zapobieżenie stało się niemożliwym. Przyczem daleka polityka stara się oczywiście stworzyć w tym bilansie pewną rezerwę na koncie sił. 2° Od 40 z górą lat polityka amerykańska doprowadziła do zwichnięcia tej równowagi zobowiązań i sił, i dlatego St. Zjednoczone zmuszone były wystąpić w pierwszej i drugiej wojnie światowej.

O ile pierwsza teza nie wymaga dłuższego uzasadnienia i kaptuje czytelnika swym niezwykle plastycznym i lakonicznym ujęciem, o tyle druga jest przez autora szeroko uzasadniana na przykładzie historii St. Zjednoczonych.

Kamieniem węgielnym polityki amerykańskiej w XIX w. było słynne oświadczenie prezydenta Monroe'go (rok 1823), że Stany Zjednoczone przeciwstawią się siłą wszelkiej próbie nowych aneksji jakichkolwiek obszarów, położonych na Zachodniej Półkuli (zarówno w Ameryce Północnej jak i Południowej) przez mocarstwa nieamerykańskie. Jak wiadomo, ta doktryna jest do dziś dnia stawiana za przykład przez izolacjonistów amerykańskich, którzy twierdzą, że St. Zjednoczone same zdołały obronić integralność kontynentu amerykańskiego, i że dzięki niej Amerykanie nie dali się w wieku XIX wciągnąć w żaden konflikt europejski.

Tymczasem Lippmann wykazuje, że Monroe złożył swą deklarację po uprzednim porozumieniu z ówczesnym brytyjskim ministrem spraw zagranicznych, Canningem, który udzielił tej zasadzie pełnego poparcia. W. Brytania nie życzyła bowiem sobie ekspansji hiszpańskiej, francuskiej lub austriackiej w Ameryce. To poparcie brytyjskie nie było platoniczne, ale oznaczało ono, że na szalę obrony Ameryki rzucona została potęga królującej wówczas na oceanach floty brytyjskiej. Był to wistocie sojusz brytyjsko-amerykański, chociaż nigdy nie został on spisany i przez to mało kto o nim w Ameryce wie.

Przez cały XIX wiek tedy żyli Amerykanie w spokoju, chronieni od konfliktów światowych nie tylko bezmiarami wód Atlantyku, ale i potęgą floty brytyjskiej (flota amerykańska wówczas jeszcze nie istniała). Z początkiem XX wieku sytuacja zmieniła się gruntownie.

Po zwycięskiej wojnie z Hiszpanią w r. 1899 St. Zjednoczone anektowały Filipiny, położone o 13 tys. kilometrów od wybrzeży amerykańskich, ale tylko o 500 km od japońskiej Formozy i trochę więcej niż 1000 km od Chin. W ten sposób St. Zjednoczone znacznie zwiększyły swe "zagraniczne zobowiązania", przybył bowiem obowiązek obrony Filipinów, a co za tym idzie, wciągnięcie St. Zjednoczonych do konfliktów we wsch. Azji. Z drugiej strony polityka amerykańska nadal chciała iść po drodze wytkniętej przez Monroe'go. Jednocześnie, z początkiem XX wieku bezwzględna supremacja W. Brytanii na morzach została postawiona pod znakiem zapytania przez szybko budującą się flotę niemiecką. I to złamanie równowagi nie zdołało zmienić polityki amerykańskiej. Jeszcze w r. 1916 głoszono w Ameryce neutralność wobec toczącej się w Europie wojny. Dopiero groza łodzi podwodnych i zniszczenia morskiej supremacji Anglii przez flotę Kaisera - zmusiły Wilsona do interwencji. Natychmiast jednak po rozgromieniu Niemiec St. Zjednoczone wróciły do swej tradycyjnej, izolacjonistycznej polityki, w której trwały mimo rosnących w oczach nowych potęg zaborczych - hitlerowskich Niemiec i Japonii.

Jako przykłady zupełnego pomieszania pojęć i niezrozumienia przez opinię amerykańską zasadniczych kanonów i praw, rządzących polityką mocarstw, wymienia m.in. Lippmann: postanowienia waszyngtońskiej

konferencji morskiej (rok 1922), dzięki którym flota japońska uzyskała przewagę na Dalekim Wschodzie, a St. Zjednoczone utraciły możność obrony Filipinów; zupełne rozbrojenie armii, floty i lotnictwa amerykańskiego dokonane w obliczu olbrzymich zbrojeń państw zaborczych, a wreszcie szereg posunięć polityki amerykańskiej bezpośrednio przed wybuchem, a nawet jeszcze w pierwszej fazie obecnej wojny. Do takich posunięć należy m.in. embargo (zakaz wywozu) na broń, uniemożliwiające dozbrojenie potencjalnych sojuszników St. Zjednoczonych itp. Lippmann nazywa politykę amerykańską z tego okresu "niewypłacalną", ponieważ wskutek słabości sił własnych i swych przyjaciół nie mogła wywiązać się ze swych zagranicznych zobowiązań.

Ale tę prawdę zrozumiał ogół amerykański dopiero w dniu ataku na Pearl Harbour, i za błędy swej polityki muszą płacić Amerykanie daninę krwi - udziałem w drugiej wojnie światowej.

Ta druzgocąca krytyka polityki, prowadzonej przez jego kraj, nie jest jednak dla Lippmanna celem ostatecznym, a tylko środkiem dla przekonania czytelnika o słuszności skonstruowanego przez autora programu polityki amerykańskiej na przyszłość. Punktem wyjścia dla tego programu jest teza, że po zakończeniu wojny istnieć będą na świecie tylko 3 wielkie mocarstwa: St. Zjednoczone, Imperium Brytyjskie i Rosja. Zatem istota polityki amerykańskiej polega w pierwszym rzędzie na określeniu jej stosunku do obydwu pozostałych mocarstw. Stosunek do W. Brytanii określony jest pozycją St. Zjednoczonych na Atlantyku.

Stany Zjednoczone zobowiązane są do obrony niezwykle rozległych wybrzeży kontynentu amerykańskiego. Wistocie Północna Ameryka jest wyspą, z której trzeba bronić drugiej wielkiej wyspy - Ameryki Południowej, przyczem odległość z kontynentu wschodniej półkuli do lądu południowo-amerykańskiego jest znacznie mniejsza niż odległość między tymi obydwiema wyspami amerykańskimi. Ponadto przy dzisiejszym rozwoju lotnictwa, marynarki i okrętów podwodnych całe wschodnie wybrzeże kontynentu amerykańskiego jest b. wrażliwe na ataki, i obrona jego winna być prowadzona nie tylko z baz na wyspach, jak Grenlandia czy Antylle, ale pierwsza linia obrony Ameryki przebiega przez wyspy brytyjskie i zachodnie wybrzeża kontynentu europejskiego i afrykańskiego. Te względy strategiczne nakazują polityce amerykańskiej szukać permanentnego sojuszu z W. Brytanią. Ale to nie wyczerpuje jeszcze tego zagadnienia. Żywotne interesy St. Zjednoczonych związane są również z tym, kto włada Francją, Belgią i Holandią (i ich posiadłościami kolonialnymi), a ponadto także Norwegią, Danią, Hiszpanią i Portugalią. Te względy doskonale objaśniają koncepcję "Wspólnoty Atlantyckiej", która byłaby w pojęciu Lippmanna swego rodzaju sojuszem obronnym.

Omawiając historię stosunków amerykańsko-rosyjskich, Lippmann wysuwa twierdzenie, że w przyszłości mimo niechęci ideologicznych i dążenia do wzajemnej separacji oba państwa będą miały szereg wspólnych interesów. W przeszłości, jak i jeszcze obecnie St. Zjednoczone i Rosja są dla siebie wzajemnie "potencjalnymi sojusznikami na tyłach swych potencjalnych wrogów2. Ale ten stosunek może się zmienić w przyszłości, kiedy po pokonaniu Japonii zniknie ten "potencjalny wróg". Rosja będzie wówczas wielką potęgą w najbliższym sąsiedztwie St. Zjednoczonych - poprzez cieśninę Beringa i poprzez biegun północny - który stanie się po wojnie wielkim szlakiem komunikacji powietrznej. Prócz tego Sowiety będą najpotężniejszym sąsiadem Chin, w utrzymaniu integralności których, jak wykazuje Lippmann, St. Zjednoczone mają tak żywotne interesy, że zdecydowały się z tego powodu na wojnę z Japonią. Ale w przyszłości nie tylko perspektywy Pacyfiku regulować będą stosunki rosyjsko-amerykańskie. W Europie Rosja będzie, jak to ostrożnie pisze Lippmann, "największą potęgą na tyłach naszych nieodzownych przyjaciół, członków Wspólnoty Atlantyckiej". Stosunki amerykańsko-sowieckie zależeć będą od tego, "czy Rosja będzie chciała rozszerzyć swą władzę na zachodzie Europy w stopniu, który by zagroził bezpieczeństwu ąństw atlantyckich" - konkluduje Lippmann. To zmusza Lippmanna do zajęcia się problemem powojennej struktury politycznej Europy Środkowej, przyczem twierdzi on, że polityka amerykańska dąży do tego, aby Ameryka nie musiała permanentnie interweniować zbrojnie w tym rejonie.

Wyciągnięte konkluzje zdają się wskazywać, że w tych sprawach nie ma Lippmann tak jasno wyrobionego poglądu jak w określaniu interesów amerykańskich na Atlantyku i Pacyfiku. Proponuje on bowiem stworzenie między zachodnią granicą Rosji a państwami Wspólnoty Atlantyckiej grupy państw neutralnych, do których weszłaby również i Polska. Ten passus wydaje się być nierealistycznym zgrzytem w tej ultra-realistycznej książce. Jak widać, Lippmann, jak i cała polityka zagraniczna St. Zjednoczonych, nie ma jeszcze wyrobionego poglądu na sprawy Środkowej Europy. Jeden z ostatnich artykułów Lippmanna, ogłoszony w związku z wizytą prem. Mikołajczyka w Waszyngtonie, którym Lippmann mówi, że Francja i Polska stanowią zasadnicze filary porządku europejskiego, świadczy o ewolucji Lippmanna w kierunku pogłębienia zainteresowań amerykańskich zagadnieniami środkowej i wschodniej Europy.

-oOo-

DZIECI SZALEŃSTWA czyli NOWE MONACHIUM

Jeden z współtwórców paktu monachijskiego, lord Maugham, wydał książkę p.t. "The Truth About the Munich Crisis". Jest to próba apologii Monachium. Nie ma w niej nowych faktów i nie ma nawet nowych argumentów. Lord Maugham powtarza znane już skądinąd twierdzenia: że Czechosłowacja nie zasługiwała, by ją ratować; że istniały wszelkie rozsądne powody do wiary, że Hitler po zdobyciu Sudetów zrezygnuje z dalszych żądań terytorialnych; że Francja nie chciała się bić; że nie było żadnej nadziei na uzyskanie pomocy od Rosji; że Anglia była rozbrojona, itd. itd.

Argumenty, jak widzimy, nie nowe i nie interesujące. Co było naprawdę znamienne - to reakcja na książkę Maughama. W odpowiedzi posypały się książki i artykuły. Ton tych wypowiedzi był całkiem jednolity. Postawa - zdecydowanie negatywna wobec wszelkich prób usprawiedliwiania twórców układu. Jednomyślne potępienie jego ducha, ideologii, postawy moralnej.

Kiedy się przegląda tę polemikę, w serce wstępuje otucha. Jakże daleko odbiegliśmy od ducha tamtych czasów! Wydaje się, jakgdyby został on całkowicie przezwyciężony w psychice ludzkiej, jakgdyby nic z niego nie pozostało, prócz złego wspomnienia.

I to wrażenie całkowitego przezwyciężenia ideologii Monachium potęguje jeszcze widok tego, co się rozgrywa na polach walk. Ofensywa na wszystkich frontach, niewzruszona wola zwycięstwa, wiara i wola zorganizowania lepszego świata - słowem przeciwieństwo tego, co jest treścią słowa: Monachium.

Czy tak jest rzeczywiście?

Czyżby istotnie Monachium należało do bezpowrotnej przeszłości? Czyżby to, co się rozgrywa przed naszymi oczami, nie miało cech tamtych czasów i tamtych metod?

Monachium było kapitulacją przed jawną i cyniczną agresją. Było bezdusznym i bezmyślnym ustępstwem wobec przeciwnika z udzieleniem mu nowych i potężnych atutów do dalszych rewindykacyj. Było chwilowym odsunięciem niebezpieczeństwa - z perspektywą jego powrotu w spotężniałej postaci.

W Monachium państwo totalne, dyktatorialne i zaborcze domagało się terytorium, do którego prawo miała mu jakoby dawać jego struktura narodowościowa. Dzisiaj inne państwo - niemniej totalne, niemniej dyktatorialne i niemniej zaborcze - wyciąga rękę po rozległe ziemie, usprawiedliwiając wolę ich posiadania - w braku motywu narodowościowego - w pewien sposób pojętą koncepcją własnego bezpieczeństwa.

W Monachium zadośćuczyniono żądaniom Niemiec. Zrobiono to w imię t.zw. r e a l i z m u politycznego. W imię tegoż samego realizmu - tak dziś ostro potępianego w jego monachijskiej realizacji - wyrażają dzisiaj niektórzy lekkomyślni zagraniczni politycy skłonności do ustępstw wobec żądań Rosji. Wschodnie ziemie polskie mają być potrzebne Rosji dla jej zabezpieczenia strategicznego, podobnie jak Hitlerowi potrzebna była Austria i Czechosłowacja przeciw zmorze "okrążenia".

W okresie monachijskim, tak obecnie potępiani politycy angielscy i francuscy zaklinali ministrów czeskich, aby zgodzili się na samobójstwo Czech dla uratowania Europy. W okresie teherańskim niektórzy politycy i publicyści naszych sojuszniczych krajów próbowali uderzyć we wszystkie tony perswazji, aby przekonać kraje bałtyckie i Polskę, że powinny samobójczo się zgodzić na dobrowolne oddanie żądanych terytoriów.

Zdumienie ogarnia, gdy czytamy w "Times," w "New Statesman and Nation", w "The New Republic" i w tylu innych - artykuły, pouczające, że tylko "niepoprawni marzyciele" mogą łudzić się, iż Anglia i Stany Zjednoczone mogłyby się mieszać do spraw Europy Wschodniej. Toż to jest przecież naturalna "sfera wpływu" Rosji. "Granicą tej sfery jest Odra" - pisał "realistycznie" "Times".

Czy dla publicystów tych nie ma żadnego znaczenia, że na tych ziemiach mieszka 100 milionów ludzi, ożywionych wolą samodzielnej egzystencji; że tego rodzaju decyzje pozostają w rażącej sprzeczności z zasadami demokracji i Karty Atlantyckiej. Czyż wielkie ideały mają obowiązywać w małych sprawach? - można by zapytać cynicznie.

Analogii z okresem monachijskim jest wciąż boleśnie wiele.

Koncesje, uczynione Niemcom w Monachium, wywoływały protesty i sprzeciwy. Byli tacy, co widzieli jasno rzeczywistość. Byli tacy, co pytali, czy poprzestanie na swojej zdobyczy najeźdźca i nie umieli dać innej odpowiedzi niż negatywną.

Takie same protesty i sprzeciwy należy podnosić dziś przeciwko próbom podziału terytorialnego Europy na "sfery wpływów". Bo nieprawdą jest, że Rosja tylko zabezpiecza się strategicznie, jak również nieprawdą jest, że kolos, obejmujący szóstą część globu ziemskiego nie może być podejrzewany o zamysły agresyjne.

Dlaczegoż więc Finlandia woli raczej zagładę, aniżeli popaść w "sferę wpływu" Rosji? Dlaczego pogrzebana została idea federacji w Europie Wschodniej? Czyż można uwierzyć w to, że podobna federacja, to realizacja "kordonu sanitarnego", agresyjnie zwróconego przeciw Rosji?

Czy żądania Rosji są doprawdy "ostatnimi żądaniami terytorialnymi w Europie"?

Różnica między okresem monachijskim a teherańskim polega na tym, że w 1938 r. mówiono, pisano, oburzano się, demaskowano intencje dyktatora, potępiano polityków, którzy szli na jego pasku.

Dzisiaj zbyt mało się demaskuje intencje dyktatora.

Trzeźwy i rozsądny obserwator, Wendell

Willkie, pisze: "Dziś nikt się nie pyta, co uczyni p. Churchill. Nikt się nie pyta, co uczyni p. Roosevelt. Dziś wszyscy pytają, co uczyni p. Stalin. Niestety, Anglia i St. Zjednoczone straciły - przynajmniej chwilowo - swe przewództwo polityczne, ekonomiczne i moralne. P. Stalin - i do pewnego stopnia idee, jakie reprezentuje, zasłoniły sobą wszystko."

Mogłoby się czasem wydawać, że bije się tylko Rosja - Anglicy i Amerykanie tylko się bawią. Nie liczyła się olbrzymia pomoc dla Rosji w materiale wojennym, nie liczyły bombardowania, obracające Niemcy w perzynę. Po inwazji Włoch domagano się... otwarcia Drugiego Frontu. Entuzjazm wywołały dopiero słowa uznania z Moskwy za inwazję Normandii. Czy to jednak długo będzie uważane za Drugi Front? Zależy, jak się na to będzie zapatrywała Moskwa.

W okresie Monachium, kto próbował przeciwstawić się tyranii ideologicznej Berlina, bywał ogłaszany za agenta Moskwy. Dziś, kto nie uznaje poglądów, jakie lansuje Moskwa, bywa ogłaszany za wroga swego narodu i za agenta Berlina. Wówczas obrażano dotkliwie już nie ideały moralne, ale poprostu zdrowy rozsądek. Dzisiejsze czasy wskrzesiły obłęd monachijski; gdy np. gen. Sosnkowski - wódz. który pierwszy rozbijał niemieckie dywizje pancerne pod Lwowem - atakowany jest dziś przez niezliczone megafony, jakimi rozporządza Moskwa.

To są rzeczy wręcz obłędne. Zwycięstwo w tej wojnie - czy je ktoś nazwie zwycięstwem demokracji nad totalizmem, czy zwycięstwem chrześcijaństwa nad pogaństwem, czy poprostu zwycięstwem rozsądku nad szaleństwem - jeżeli ma istotnie być początkiem nowego świata - czy choćby kontynuacją tego, co w tamtym świecie było szlachetne i twórcze - musi być całkowitym przezwyciężeniem ducha Monachium, musi być zwycięstwem wielkiej i twórczej myśli politycznej, nie bojącej się spojrzeć prawdzie w oczy, idącej śmiało na spotkanie wszelkich niebezpieczeństw i trudności. Na zawsze musi być wygnana z serc i umysłów polityka strusiego chowania głowy w piasek, polityka odwlekania i doraźnego zapobiegania, polityka szukania najłatwiejszych rozwiązań, za którymi kryją się dopiero prawdziwe trudności.

"Kto przez jedną chwilę wierzy w potrzebę dla Rosji wschodniej Polski, kto w tym już samym żądaniu tego niezmiernego Imperium nie przejrzał oczywistego zamysłu podboju Europy, kto chce ustąpić Sowietom choćby dwie wsie w Pińszczyźnie, nie rozumiejąc, że w ten sposób robi wyłom w zasadzie, która jest ochroną Europy przed nowym zalewem - ten jest nieodrodnym dzieckiem tego szaleństwa, tego rozkładu myślowego , który pogrążył świat we krwi i łzach ten musi być zwalczany w imię wolności i rozsądku, jak byliby zwalczani ci, którzy by jeszcze raz chcieli przeciwstawić Hitlerowi - parasol."

-oOo-

LWIE SYLWETKI

Dragutin Michajłowicz

Dragutin Michajłowicz jest zawodowym oficerem, który służbę rozpoczął w królewskim wojsku serbskim jeszcze przed wojnami bałkańskimi 1912/13, i brał w nich udział jako młodziutki oficer piechoty. Odbył ponadto całą pierwszą wojnę światową, kilkakroć ranny, kilkakroć odznaczony najwyższymi odznaczeniami za męstwo. Następnie, po zjednoczeniu Chorwatów, Serbów i Słoweńców, przeszedł do służby w wojsku Jugosławii, zajmując w ostatnich latach przed wojną stanowiska: szefa sztabu jednej z armii jugosłowiańskich oraz szefa sztabu inspektoratu fortyfikacji, jako pułkownik dyplomowany. Przed samą wojną obecną popadł w konflikt z ministerstwem spraw wojskowych, któremu przedstawił memoriał, ostro krytykujący organizację władz naczelnych wojska jugosłowiańskiego i jego doktrynę wojenną, oraz podający środki zaradcze. Michajłowicz jest synem chłopa serbskiego. Reasumując: mamy przed sobą postać nieskalanego oficera-patrioty, człowieka oddanego swemu królowi i ojczyźnie, powszechnie znanego i szanowanego.

Józef Tito

Józef Broz-Tito jest synem kowala, Chorwata. Za młodu kilkakrotnie sądownie karany, kary odsiadywał przeważnie w więzieniu zagrzebskim, gdzie są przechowane akta jego spraw. W okresie międzywojennego zawieszenia broni przebywał dłuższy czas w Rosji, zajmował stanowiska z ramienia Kominternu w różnych stolicach Europy, brał udział w wojnie domowej hiszpańskiej po stronie czerwonych, jako dca baonu. Z tych czasów znany przez Polaków, którzy służyli pod jego rozkazami. Wyrażają się oni o nim pochlebnie jako o dobrym organizatorze, ale uważają go za człowieka o nie zbyt szerokiej inteligencji. Zwany był przez nich "Brąz", co widocznie bardziej odpowiadało polskiej wymowie. Przydomek "Tito" przybył Brozowi dopiero w Jugosławii, prawdopodobnie, jak mówią, naskutek ulubionego przezeń powiedzenia "Ti si to?" w skrócie "Ti-to?", co znaczy "Czyś to ty?" Syn Tity jest sierżantem a armii sowieckiej, w której udekorowany został niedawno medalem za dobrą służbę. Całość obrazu należy jeszcze uzupełnić tym, że Józef Broz-Tito pojawia się w Jugosławii na wiosnę 1941 r., jako stronnik porozumienia jugosłowiańsko-niemieckiego. Wrogiem Niemców staje się dopiero po czerwcu tegoż roku, i wtedy zwraca się do gen. Michajłowicza o przyjęcie go do jego szeregów dla walki z Niemcami, trwającej już od kwietnia 1941 r. t.j. od klęski Jugosławii.

Tito ogłosił się marszałkiem sam przy pomocy rządu kreowanego przez siebie w roku 1943. Michajłowicza z pułkownika na generała broni awansował król Piotr w ciągu lat 1941/42 za zasługi w walce z Niemcami.

-oOo-